

WIELKOPOLANIN

№ 161

Przedpłata w Poznaniu:
kwartalnie 30 fen., miesięcznie 10 fen.,
za dostawę do domu i markę
WIELKOPOLANIN
wywodzić codziennie.

Poznań, sobota 18. lipca 1885.

Przedpłata na pocztach
kwartalnie 1 marka.
INSMERATY od wiersza drobnego 15 fen.
REKOPISMA się nie zwracają.

Rok 3.

WYDAWCA „Wielkopolanina”: Wodna ul. nr. 22. — EKSPEDYCYA: Wodna ul. nr. 15 w drukarni Fr. Chocieszyńskiego.

Nakład codzienny 5300 egzemplarzy.

Głos Serbo-Lużyczanina z Wielehradu.

Na tysiączną rocznicę, do grobu apostoła Słowian, pospieszył także X. M. Hórnik, proboszcz z Budyszyna, gorliwy patriota wśród swego narodu, i tu z Wielehradu wystosował odezwę „do Czechów i Polaków.”

Ażebyśmy lepiej ocenić zdołali odezwę kapłana patrioty, nakreślmy położenie i granice jego ojczyzny, wspomnijmy pobieżnie o jej wielowiekowej przeszłości.

W kierunku prostym z północy na południe, w połowie przestrzeni między Frankfurtem nad Odrą a czeska Praga, położone są dwa miasta w odstępnie dziesięciomilowym, Chociborz (Kottbus) w Brandenburgii, i Budyszyn (Bautzen) w królestwie Saskiem. Na wąskim pasie ziemi, łączącym oba miasta, ocalały dotąd szczątki licznej ongi narodu „Wendów”, jak my ich nazywać zwykliśmy, „Lużyckich Serbów”, według własnego ich miana. Kraj nazywamy Lużycami (Ługi, Łąki), albo Lużacyą. Górnych Lużyc niejako stolicą: saski Budyszyn, dolnych zaś brandenburski Chociborz. Ludność cała wynosi mało co więcej nad 160,000 dusz. Małe te szczątki osobnego szczepu słowiańskiego, z językiem odrębnym, wyznają dziś dwie wiary, katolicką i protestancką, ulegają na domiar dwom koronom, pruskiej i saskiej.

Trudne, smutne to stosunki dla bytu i rozwoju narodowego. Temu lat 900 blisko kraj Lużyczan, znacznie natenczas rozleglejszy, stanowił jedną z zachodnich dzielnic wielkiego państwa, które rozszerzył mieczem, spoil potężnym berłem król Bolesław Chrobry. W tym samym co dziś Budyszynie, po zaciętej z Niemcami wojnie, w r. 1018 zawarł Chrobry z cesarzem Henrykiem II pokój i zabezpieczył granice państwa.

Lecz następcy Bolesława nie umieli ustrzedz dalekich granic Słowiańszczyzny od bezustannego sąsiadów najazdu; wiemy wszyscy, jak z biegiem czasu Niemcy przekroczyli stanowczo brzozi Elby (po dawnemu Łaby) i niby powódź zalali i pochłonęli szczepy słowiańskie daleko po za Odrę, a na Pomorzu aż pod Gdańsk i jeszcze dalej; tak że tylko dawne nazwiska ziem i miast (jak Lipsk, Szczecin), przypominają pierwotny, słowiański początek.

Alisci i nazwa Brandenburg powstała ze słowiańskiej Branibory.

Ludy same wyginęły bez śladu na ogromnej przestrzeni.

I naród lużyckich Serbów, od wieków przygniatany żywiołem obcym, powoli zewsząd odcięty od pnia słowiańskiego, tak iż nigdzie nie łączy się bezpośrednio z żadnym szczepem pobratymców, kurczył się i topniał, ale nie namarli!

On dziś jeszcze oddycha życiem własnem,

świadom swój odrębności narodowej (jak nas o tem przekona głos X. Hórnik). On żyje, jak wśród natarczywych fal morskich wypiarz samotny, bo od najbliższych mu granic słowiańskich, od Czech, jeszcze go oddziela przestrzeń mil kilku niemieckiego zalewu, i nawet toż pogranicze czeskie jest także od dawna zniemczonem.

„Serbja (lużycy) — mówi ks. Hórnik — z wjetsza ratarjo a rjemjeslnicy”, po większej części rolnicy a rzemieślnicy — a zatem lud to jak na Górnym Ślązku; tylko że od samego dziejów początku tuż do granic Niemiec wysunięty, przedzój od Ślązaków uczuł obcą natarczywość, i stracił dawno wszelkie oparcie o jakikolwiek ochronny wał pobratymczy, podczas gdy Ślązacy zawsze mieli i dotąd mają oparcie o przyległe dwie ściany, o polską i czeską.

O tyle trudniejszą była dola Lużyczan od doli nawet Ślązaków, a przecież ta garstka ludu znacznie więcej, niż Ślązacy, przechowała świadomości i dążności narodowej.

Słowa te nasze nie mają być zarzutem dla Górnoślązaków — dosyć im cięży na duszy ich własny krzyż; pragnęliśmy raczej tylko wyrazić słuszny podziw, jaki w każdym wzbudzać winna owa cicha a niezłomna wysepka rozbitków, od tylu wieków, nadstawiająca czoła tak nieubłagany prądom.

Ten cud się dzieje w naszych oczach, bo „Serbja lubuja swoja rzecz a narodność.” Oni miłują język swój i narodowość, ten sierocy lud rolników a rzemieślników!

Oto przyczyna, dla której „Wielkopolanin” pragnąłby nad nim rozwozić się jak najobszerniej wobec swych czytelników.

A teraz, kiedy przypomnieliśmy sobie w najgłówniejszym zarysie przeszłość i teraźniejszość braci Lużyczan, posłuchajmy, co mówi ich kapłan-patriota, X. Hórnik

do Czechów i Polaków!

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kłęski powodzi.

Dzienniki takie niemal sprawiają wrażenie, jakoby w dobroci serca trwożyć i zasmucać nie chciały szerszego koła polskiej ludności. O kłękach bowiem, wyrządzanych powodzią w Galicyi piszą jak najmniej, zamieszczają w łamach swych wiadomości o powodzi tak cicho i skromnie, iżby jak najmniej podpadały pod oczy czytelnika, a zaniemowały już zgola telegramy.

Tak np. po niewinnej „kronice kąpielowej” z zacisznego kąta odzywa się „Gazeta Narodowa”:

„Kłęska powodzi. Z okolicy Trześni do-

noszą, że folwark tamtejszy Tarnówek, własność hrab. Tarnowskiego, posiadający najżyźniejsze grunta, zalany został na przestrzeni 80 morgów, wskutek zebrania Trześniówki, która parta i zasilana wodą wiślaną, wylała. Podobnie wiele gruntów pod Legiem zalanych było. W Gorzycach, a szczególnie w Zalesiu gorzyckim, wylew ogromne szkody wyrządził, i gdyby nie pomoc Wydziału krajowego, który udzielił 500 złr., byłaby straszna nędza, bo głód. Od Osieka po Sandomierz cała okolica przedstawia jakby jedno jezioro.

W okolicy pobliskiej, koło Krakowa, akademicy jeżdżą i rozwożą żywność. Wczoraj udali się z 200 bochenkami chleba i 25 kilo kaszy do Kamienia, Rusocia i Kłokoszyzna, gdzie wielu włościan pozbawionych jest żywności. „Czas” donosząc o tem, czyni taką uwagę: Pomoc udzielona przez akademików, wysłanych przedwczoraj z ramienia członków zeszlórocznych komitetu ratunkowego, okazała się bardzo skuteczną, ale na większą skalę akcja ta nie może być podjęta, gdyż komitet w roku obecnym żadnym nie rozporządza funduszem. Zresztą pomoc potrzebna w powiatach wadowickim, myślenickim, brzeskim i innych, w których oberwanie chmur, niesłychane o wiele większe od zeszlórocznych poczyniło spustoszenia, wyjść musi od komitetów powiatowych, które łącznie ze starostwami i Radami powiatowymi objąćby powinny tymczasową czynność konieczną. Władza krajowa rządowa i autonomiczna pospieszy z pewnością z potrzebnymi funduszami, a dla dalszej akcji, którąby się zająć miały ciała prawodawcze, należałoby szybko potrzebny zebrać materiał.”

Otóż nam się wydaje, że gazety galicyjskie mogłyby uderzać śmiało w nieco głośniejszy dzwon, a natenczas zapewne nie poskarży się „komitet”, że „żadnym nie rozporządza funduszem.”

I zkadinać widać najwyraźniej, że wody galicyjskie jak najmocniej już zalewają się za kolnierz, nie tylko bezpośrednio dotknietym.

Cesarz bowiem Franciszek Józef ma spieszniej wrócić z wód, z Ischl, do Wiednia, i tu natychmiast każe sobie przedłożyć projekt przygotowany dotąd przez komisją do regulacji koryt rzecznych w Galicyi.

Z tego wszystkiego wyprowadzamy domysł, że jest o czem pisać i mówić dobitnie, a codziennie.

Jak reformują Moskale.

W Królestwie polskiem pod berłem carów istniały aż po czasy ostatnie różne instytucje, (sądy, szkoły, banki itd.), zarządzane przez Polaków. Ale to właśnie grzechem było najgor-

szym w mniemaniu tych, którzy teraz rej wodzą w Rosyi.

W Polsce, a raczej „w kraju nadwiślańskim“ według najświeższego tytułu, trzeba zażądać wszelkie dawne znamiona i wpływy polskie, trzeba wszystko naznaczyć stemplem rosyjskiej „cywilizacji“ i potęgi.

Zmoskwiczono więc sądy, szkoły. Ocalała jedyna instytucja poważna, „Bank Polski“ w Warszawie.

Więc uchwalono w Petersburgu i ten zreformować na modłę moskiewską.

Miedzy innymi z góry ogłosiła władza, że który z urzędników „Banku polskiego“ nie będzie przydatny władzom na jakiegobądź innej posadzie rządowej — może zarazem zbierać manatki i ruszać z kwitkiem!

Choć w mniej dosadnych słowach, bo i Moskale umieją cukrzyć i osłaniać nagą prawdę słowami — taki był sens postanowień władz.

Że nie miał nikt zyskać innej, odpowiedniej posady — to jasna. Tracą więc wieloletnie urzędy, a zatem i chleb wieloletni, zapracowany rzetelnie, całe szeregi urzędników banku, od góry do dołu.

Utrata stanowiska i chleba, oderwanie od ukochanej instytucji, jej zabicie — to już podstatkiem sprawia ból.

Nie dosyć na tem „reorganizatorom“; dokuczliwość trzeba doprowadzić do ostatnich granic.

Stała tedy reorganizacyjna jakaś komisya panów Moskali wśród urzędników „banku polskiego“ by zbadać obecny stan rzeczy, przejąć rządy, a do rzeczy zabrala się tak butnie, wyniosłe, brutalnie, z tak niemilosierdnym urągownictwem, tak po prostu poczęła znieważać urzędników banku, Polaków, że w ich duszach zawrzały wszystkie, najboleśniejsze uczucia.

Jedynie z takiego bólu, zadanego sztuką moskiewską znęcania się nieludzkiego, powodowany rozpaczą, Stanisław Herz, kasjer banku, mąż wielce szanowany w Warszawie, targnął się na własne życie.

Piersi i głowę przeszył kilku kulami z rewolweru.

„Reorganizatorowie“ wzięli się natychmiast do rewizji kasy. „Kasjer“ chciał się zastrzelić, toć oczywiście okradł kasę, i lękał się Sybiru.

Ale o dziwo! kasa była w porządku wzorowym.

Szanowni ci panowie! Oni rozumieją jeden tylko powód do samobójstwa: oszustwo i kradzież! Nie dla tego, iżby hańbiły takie sprawy powszednie, ale że czasem doprowadzą „nieszczęśliwego“ aż na Sybir, gdzie życie prawie gorsze od śmierci.

WYCHOWANICA.

20

POWIEŚĆ

Fr. Xaw. Tuczyńskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Gdybyś mnie nie był nastraszył, — rzekła Kasia, — byłabym już dawno wianek uplotła, a tak, to teraz muszę się spieszyć.

— Wszystko jedno, — odpowiedział Szymek, — i tak dokończysz wianka i zapewne go ciśniesz, bo komuż go dasz? a ty wianka na głowę nie potrzebujesz.

— A to czemu nie?

— Tyś cała taka śliczna, że te bławatki wcale by ci krasy nie przysporzyły.

— Patrząc go! zawołała Kasia, co mi za pochlebca!

— Kto ci myśli pochlebiać? odpowiedział Szymek, ja przynajmniej nie, bo u mnie tylko to na języku, co...

Tu urwał.

— To co w sercu? domówiło za niego dziewczę, no, to bardzo ładnie, jeżeli prawda.

— O Kasiu! Kasiu! wykrzyknął smętnie Szymek, są na świecie ludzie, którzy nie mogą tego wypowiedzieć, co czują w sercu!...

— A ktoby mnie przymuszał tać się z czém, gdybym to chciała powiedzieć?

— Nie mówmy o tem, moja Kasiu, przerwał jej młodzieniec boleśnie, a ty dziękuj Bogu, że się w takim przypadku nie znajdujesz. Tyś śliczna, jak słońce, niedługo pójdziesz za Walka...

Jakże mu też nie do twarzy!

Dzisiejszy „Posener Tagebl.“, organ wiedzący zwykle naprzód, co się ma stać z polecenia rejencji, przyniósł swym czytelnikom artykuł p. t. „Pogwałcenie Sasów siedmiogrodzkich“, ubolewając i płacząc nad Szwabami siedmiogrodzkimi, których prawa pogwałcają Węgrzy bezwzględnie. Cały szereg takiego ucisku wymienia „Pos. Tagebl.“:

1) „Sądowi przysięgłych w Hermannstadt odebrano procesa prasowe siedmiogrodzkich gazet, a przeniesiono do Węgier do Klausenburga, „jakgdyby to tylko sędziowie madziarscy byli zdolni do rozstrzygania tych spraw, a Szwabi tej zdolności nie mieli, a czy to ma się nazywać równą miarą dla wszystkich“, woła z żalem „Posener Tageblatt“.

2) Minister sprawiedliwości występuje przeciw niemieckiej prasie, a minister oświaty przeciw niemieckim szkołom. Niedawno wydane rozporządzenie ministeryalne nakazało, aby w wszystkich szkołach ludowych przeznaczano tygodniowo przynajmniej czternaście godzin, a więc połowę lekcyi, na naukę języka węgierskiego; każdy zaś nauczyciel ma umieć uczyć po węgiersku. Wiele z tych szkół jest w miejscowościach, w których ani jeden Węgier nie mieszka — narzeka dalej „Pos. Tagebl.“, — a mimo to muszą się dzieci niemieckie uczyć po węgiersku.

3) Aby zmadziarzyć inne narodowości, wzięli się Węgrzy do zakładania ochronek, szkólek freblowskich i szkół, i jak Francuzi w Alzacji i Lotaryngii, Czesi w Czechach, tak Węgrzy w Siedmiogrodzie mają odwieczne niemieckie rodziny przerobić przez te zakłady na Węgrów.

4) Mimo to wszystko nie chcą pozwolić Szwabom na to, aby im porwano język ojczysty, za co ich rząd prześladowuje, a prasa wyszydza i oszczerstwa na nich wymyśla.

Tak wyrzeka „Posener Tageblatt“, przenosząc się aż na ziemię siedmiogrodzką, między Szwabów, jak gdyby, jeśli mu chodzi o wyższe moralne względy, nie miał dosyć sposobności do litowania się nad Polakami i polskimi dziećmi najbliższego otoczenia.

Ubolewa „Posener Tagebl.“, że Węgrzy odmawiają Szwabom zdolności w pełnieniu pewnych funkcji urzędowych. Niech się „Pos. Tagebl.“ obejrzy w koło siebie, i niech się zapyta, a od kogoż się Węgrzy nauczyli tej praktyki uposledzania innych narodowości!

„Węgierski minister oświaty występuje przeciw szkołom niemieckim“, mówi „Tageblatt“. A czy ministrowie pruscy: dr. Falk, Puttkamer, Gossler i ich poprzednicy, usłuchali skarg naszych dzieci, naszych rodziców i posłów, zanoszonych przeciw wynaradawiającemu nas systemowi!

— Co tobie znowu?

— Jednak tak już ludzie gadają!

— Hm! gadają!... mruknęła Kasia, jeszcze tyle siana nie urosło, aby ludziom gęby pozatykać! Ja przynajmniej jeszcze nawet nie wiem, czyby mnie Walek chciał!

— Moja Kasinku! wyjąknął Szymek, ty chyba sobie ze mnie żartujesz! Któżby cię nie chciał?... Walek? on tylko powinien się zapytać, czybyś ty go chciała!...

Kasia złożyła na kolana gotowy już wieniec, a podparwszy głowę, zasępiła się. Szymek to dojrzał, ale nie zrozumiał przyczyny.

— Czemuś tak się zasępiła? zapytał.

— Bo widzisz, Szymku, odrzekła żałośnie, jam sierota... bez ojca i matki... i tylko z łaski dobrych ludzi mam się dobrze...

Na te słowa lzy trysnęły z oczu Szymka. Zdziwiona Kasia wlepiła weń swe oczy i zapytała:

— Szymku, co ci to?

— Moja Kasiu, zawołał drżącym od wzruszenia głosem, — tyś nie sierota, boś znalazła w Brząkale i Brząkalinie rodziców, których zostawiłaś córką jedynaczką. Ale ja sierota... bez ojca, bez matki... bez krewnych i przyjaciół... sam jeden na tym świecie!...

Chwilę nastało głuche milczenie, z którego tylko słyszeć było można ciężkie westchnienia.

— Uspokój się Szymku, zawołało wreszcie dziewczę, uspokoć się. Tyś mężczyzną, to łatwiej ci się przez świat przebić, ale coby się to było ze mnie zrobiło, gdyby nie Opatrzność bozka zesłała mi takich dobroczyńców.

„Czternaście godzin przeznaczono w Siedmiogrodzie dla języka węgierskiego“ pisze „Tagebl.“. Jakbyśmy Polacy szczęśliwi byli, gdyby nam połowę lekcyi oddano na naukę języka polskiego. Zazdrościmy Szwabom tego szczęścia pod tym „uciskiem“ węgierskim.

„We wsiach, w których nie ma ani jednego Węgra, mają się dzieci uczyć po węgiersku“, wyrzeka „Tagebl.“. A u nas we wsiach, w których nie ma ani jednego Niemca, muszą się dzieci uczyć po niemiecku, i tego nie widzi „Tageblatt“, i nie płacze nad dziećmi polskimi! Czy to się ma nazywać „równą miarą“ tej gazy? A czemuż to ani słówkiem nie wspomnia „Posener Tagebl.“ o świeżym wypadku w Górczynie, gdzie dzieciom polskim się taka krzywda dzieje! Czemu innych naszych skarg nie zapisuje ten tak czuły na szwabskie płacze „Tageblatt“!

„Przez szkółki freblowskie, przez ochronek i szkoły chcą Węgrzy zmadziarzyć Szwabów — woła „Tageblatt.“ — Pocóż on tak daleko po ten towar wynaradawiający jeździ, kiedy go ma pełno u siebie od dawna!

„Mimo to wszystko nie pozwolą Szwabi na to, aby im porwano język ojczysty, za którego obronę dostaje im się od rządu prześladowanie, a od prasy węgierskiej szyderstwa i oszczerstwa“, płacze „Tageblatt.“ — A co się dzieje na Górnym Śląsku od wieków, w Zachodnich Prusach i w Wielkopolsce! Czy sam „Tageblatt“ nie szydzi i nie uraga naszej obronie języka ojczystego!

Nie, jeśli które pismo, to właśnie „Tageblatt“ nie powinno było występować z powyższym artykułem, boć ono wiedzieć powinno, od kogoż się Węgrzy tej sztuki wynaradawiania nauczyli. Ta obrona i te żale nad Szwabami, zaprawdę, bardzo „Tageblattowi“ nie do twarzy! Niech to sobie „Tageblatt“ spamięta, że kto chce drugich karcić, sam musi być bez winy.

Wiadomości polityczne.

Niemcy. W sprawie znanego już czytelnikom naszym okólnika paderbornskiego, pisze „Germania“, katolickie pismo wychodzące w Berlinie: „Jest wiele chwil w życiu, w których katolik w nieograniczonej miłości i z zupełnem zaufaniem spogląda na Rzym, na tę całą świat widzącą Opokę św. Piotra, do którego to Zbawiciel powiedział: „Tyś jest Opoka, a na na tej Opoce zbuduję kościół, którego bramy piekielne nie przemogą.“ Do tej to Opoki udają się katolicy, ilekroć uczują się zaniepokojeni w swych sumieniach, albo jeśli nie rozumieją jakiej sprawy kościelnej. Okólnik paderbornski zaniepokoił wiernych, to też udali się z błagalną prośbą do stóp tronu Ojca św., aby wyjaśnił tę tak ważną

Szymek jeszcze kilka razy westchnął, oczy przetarł ręką, i zdawał się natężyć swą wolę, aby się oprzeć wzruszeniu. Na pozór też po nim tego widać nie było, co w jego sercu i w jego duszy wrzało.

— Jaby tak całe życie chciała pozostać sama, mówiła dalej Kasia, ale to na świecie tak nie idzie. Ja nie pragnę wyjścia za mąż, ale jak tatuś i matula będą kazali... to wola ich święta... Szymek się zamyślił.

— Gdybym ja mógł, rzekł nagle Szymek, i wiedział, czem się do twego szczęścia przyczynić, tobym życie, tobym duszę poświęcił dla ciebie, moja Kasinku.

— Czy ty mi tak dobrze życzysz? zapytała czule dziewczyna.

— Kasiu! wyrwał się jęk z piersi młodzieńca, — czyż tobie to trzeba powiedzieć? czyż nie uważałeś tego nigdy?

Przy tych słowach zwrócił na nią swe palające oczy. Blask ich, to istny blask płomieni! Kasia wytrzymała tego wzroku nie mogła, spuściła oczy, a jej wzrok padł na leżący na jej kolanach wieniec. Porwała go szybko, podniosła się, zdjęła kapelusz Szymkowi z głowy, a na jego miejsce wsadziła mu na skronie wieniec.

Szymek złożył ręce jak do modlitwy, serce mu gwałtownie zabiło, a w duszy usłyszał głos: „Kasia będzie cię kochała...“

O! za wiele szczęścia dla niego. Chciał coś mówić, nie mógł, bo dech zaparł mu się w piersi, chciał spojrzeć na Kasię... nie mógł, bo przed oczyma wisiała mu gruba łzawa mgła. Ustami

